

Stanisław Gryguć

Nagranie i redakcja maszynopisu Janina Wołczuk

Wykorzystanie do tematu: Ziemia Lidzka...



Urodziłem się 1 czerwca 1930 roku w osadzie Kołyszki /pow. Lida/. Ojciec Józef, matka Zofia z d. Domaniewska. Ojciec pochodził z Wierzchlidy. W Kołyszkach mieliśmy gospodarstwo rolne. Początkowo ojciec miał gospodarstwo jako tzw. osadnik, był z Piłsudskim w 1920 r. pod Kijowem. Ale potem ojciec to gospodarstwo sprzedał i kupił sobie inne - też w Kołyszkach. Rodzina nasza składała się z rodziców i dwojga dzieci - byłem ja i siostra. Ojciec miał dwóch braci: jeden służył w 77 pp w Lidzie, w stopniu plutonowego - to stryj Wiktor. Drugi brat ojca - Stanisław - był w Kołyszkach krawcem. Ojciec miał 15-hektarowe gospodarstwo, w tym około 3 ha sadu, łąkę, zabudowania. To było średnio zamożne gospodarstwo. Z maszyn mieliśmy już swój kierat, młocarnię, wialnię, siewkarnię. W Kołyszkach inni gospodarze jeszcze nie mieli niezbędnych maszyn rolniczych. Powodziło nam się chyba lepiej niż sąsiadom.

Sąsiadami naszymi byli osadnicy: Duras Michał, Gierasimowicz Józef - był sołtysem, mieszkał niedaleko nas, Najda /Najdo?/ - miał chyba dwie córki. Duras pochodził chyba z Poznańskiego. W Kołyszkach mieliśmy kontakt ze wsią o tej samej nazwie - odwiedzaliśmy się z rodziną Feliksa Kordasza. Wieś Kołyszki była katolicka - spotykaliśmy ludzi z Kołyszek w kościele; nabożeństwa majowe i czerwcowe były w Kołyszkach u takich starszych ludzi, do których przychodziły dzieci z całej wioski. Na wiosce mówiono „po prostemu”. Nasi rodzice starali się w domu mówić po polsku. Na Syberii też mówiliśmy po polsku.

Ojciec dobrze żył z sołtysem, sołtys miał radio, więc kiedy wybuchła wojna, ojciec chodził do niego, żeby posłuchać wiadomości. Z Durasem też byliśmy w dobrych kontaktach.

Na wsi było biednie - gospodarstwa były małe, chłopci mieli mało wiadomości o uprawie roli, o stosowaniu płodozmianu. Koło Lidy był majątek księży pijarów. Pijarzy uczyli okoliczną ludność jak uprawiać ziemię, jak opiekować się dzieckiem. Prasy - gazet na wsi nie było. Nasz sąsiad Najda miał jakieś wykształcenie rolnicze, pouczał chłopów, ale u niego samego nic nie rodziło i był przez nich lekceważony.

W Kołyszkach nie było sklepu. To była mała wioseczka. Nie było też szkoły; chodziłem do szkoły do wioski nieopodal /może to były Ciaby/ - to była duża szkoła, 7-klasowa, opiekowało się nią wojsko - 77 pp - dawało biednym dzieciom zeszyty, książki,

a wszystkim dzieciom fundowało kubek kawy. Nie wszystkie dzieci wiejskie chodziły do szkoły, w zimie dawał się we znaki brak obuwia. Biedny był, np. pan Krupowicz, miał bardzo dużo dzieci, ale tylko jedno z nich - Ziuńka chodził do szkoły. Zachodziłem do nich po drodze i widziałem, jak jedli tłuczone ziemniaki w mundurkach. Ale tenże Krupowicz był bardzo szlachetny. Uratował mojego stryja - przechował go w jamie po ziemniakach /przed so-wietami?/.

W Kołyszkach mieszkało małżeństwo nauczycielskie - Majchero-wie. Mieszkali przy nowo wybudowanej szosie.

Nie było antagonizmów pomiędzy osadnikami i wsią. Ale osad-nikom zazdrozczono.

Wkroczenie Rosjan. U nas Rosjan nie witano. Opinie o Rosja-nach były znane, złe. Nawet ludzie niewykształceni niczego do-brego od Rosjan nie oczekiwali. Jeszcze o Rosji carskiej były złe opinie, narzekano, wspomniano carskich urzędników. Ludzie w Kołyszkach czuli się Polakami. Moja babka Domaniewska /ze stro-ny matki/ bardzo słabo czytała po polsku. Babcia też była z Lidzkiego.

Po wybuchu wojny jeszcze przez jakiś czas chodziłem do szkoły. Po wejściu Rosjan do szkoły przyszedł nowy nauczyciel, który pochodził z jakiejś pobliskiej wioski, znał język rosyjski i uczył nas śpiewać "Katuszę". W szkole zostali jeszcze poprzed-ni nauczyciele, ale ten nowy był bardzo proradziecki. Nie pamię-tam, byśmy dostali rosyjskie książki. Ojciec nie prenumerował gazet, czasami tylko kupował. Ludzie bardzo oszczędzali każdy grosz. Bywało tak, że kobieta wiejska wiozła na sprzedaż kopę jaj, których często nie mogła sprzedać - i wtedy nie kupiła sobie nawet bułeczki - a bułeczka kosztowała 5 groszy.

Chodziliśmy do kościoła parafialnego w Lidzie, tam mój stryj przyprawdzał wojsko na Mszę; to był dla mnie bardzo cie-kawy widok.

Deportacja. Ludzie wiedzieli, że coś się szykuje, bo w Li-dzie przygotowywano wagony. Ojciec opowiadał matce, że w wago-nach bydłęcych robili prowizoryczne ubikacje. Osadnicy wiedzieli, że mogą być wywiezieni, np. Duras uciekł. Do ucieczki namawiano też mojego ojca. Nikt nie sądził jednak, że będzie to odpowie-dzialność zbiorowa, że będą wywozić również kobiety, dzieci i starców.

Ojciec mój był z 1900 roku, w 1939 roku nie był zmobilizo-wany. W wojsku służył tylko mój stryj.

Podobno nauczyciele też byli wywożeni, ale ci Majcherowie z Kołyszek nie byli wywiezieni.

Do nas przyszli w nocy. Pies zerwał się z łańcucha. Ojciec poderwał się z pościeli. Wszyscy się obudziliśmy. Weszli Rosjanie. Jeden z nich odczytał nasze nazwiska i powiedział, że jesteśmy skazani na stały pobyt w Związku Radzieckim. Dał czas na spakowanie się i pobiegł dalej. Zostawił tylko żołnierzy na dworze i w mieszkaniu - żołnierze byli w takich spiczastych czapkach i z bagnetami - "widelcami". Zapakowano nas na sanie, woźnica był nawet znajomym ojca /wtedy po prostu nakazano chłopom stawić się z końmi/.

Rosjanin powiedział, że możemy zabrać 500 kg bagażu. Babcia była najprytniejsza, wiedziała, że na Sybir trzeba brać ciepłe rzeczy: kożuchy, pierzyny, kołdry, siekierę, jedzenie. Z wojskowymi przyszli jeszcze cywile - dwaj mężczyźni i kobieta - z sąsiednich miejscowości. Jednego z nich ojciec znał - uchodził on za człowieka bardzo pobożnego, nawet się z niego ludzie z tego powodu trochę śmiali. On był z Dowkni. Ta trójka zaczęła dyrygować naszym pakowaniem. Babcia moja i matka miały dużo natkanych rzeczy, już szykowały posag dla mojej siostry Halinki, która była jeszcze mała. To wszystko leżało w kufrze. Kiedy babcia chciała to z kufra zabrać, to ta kacapka nie chciała pozwolić, musiał nawet interweniować żołnierz. Babci nie udało się jednak zabrać tego, co chciała /może tam było coś wartościowego czy jak/. Stryj opowiadał potem, że nasz dobytek został porozbie-rany, m.in. był schowany w ocynkowanych baniakach miód - "a oni znaleźli"; szafa z lustrem znalazła się w Dowkniach, wszystko zostało rozgrabione, nawet sad został wyrąbany; ule z pszczołami zostały otwarte po naszym wyjeździe - w lutym!

str. B

Stryj wiedział, którzy to cywile byli przy naszej deportacji. Ta kobieta, która była przy tym, została później powieszona w pobliżu koszar, niewiadomo przez kogo. Jeden z mężczyzn mieszkał w Dowkniach. Pewnego razu stryj z Durasem szli przez las i spotkali tego cywila i rozpoznali go. Człowiek ten padł na kolana, modlił się. Stryj powiedział, że trzeba go zastrzelić, ale Duras na to, że szkoda na niego kuli i uderzył go jakimś sękiem - a potem dobił z pistoletu. Natomiast losów tego drugiego cywila nie znam.

O Durasio: po powstaniu w Wilnie AKowcy zebrali się w Puszczy Nalibockiej, część z nich zabrali Sowieci. Mój stryj uciekł, wrócił w Lidzkie i namawiał Durasa, żeby uciekać do Polski. Ale wtedy już Rosjanie byli w Polsce. Stryj przekonywał Durasa, że tam na kresach już nie mają szans. A Duras powiedział, że Pol-

Stanisław Gryguć

ska wróci jeszcze na kresy. Mój stryj wykorzystał okazję, kiedy była repatriacja i schował się w wagonie, którym jechali repatrianci - gdzieś za żłobem czy w sianie - w wagonie z bydłem, ponieważ nie miał dokumentów repatriacyjnych. Tutaj nigdy się nie ujawniał, nie chciał iść do pracy do żadnej solidnej firmy państwowej, bał się, żeby nie przejechać się tam, gdzie nasza rodzina była podczas wojny. Pracował różnie, ostatnio był kierownikiem administracyjnym w FWP w Szklarskiej Porębie. A stryj Stanisław repatriował się legalnie, był nawet w ZBOWIDzie.

Duras został i zorganizował coś, co było pospolitą bandą - to nie była już AK, ani partyzantka. Opowiadania stryja o Durasi uważałem czasami za kołyzowanie, ale kiedy byłem z babcią w Lidzie u pani Urbanowicz /ona już nie żyje/, to ona opowiadała, że była skazana razem z mężem na 15 lat zsyłki za ukrywanie Durasa. Duras miał bandę, nakładał na wsie kontrybucję, płynęła rzeką wódka. Ta sama opinia była o Durasi w Kołyszczach. Janek Kordasz opowiadał, że Durasa zastrzelono w Czechowcach: Duras przyszedł z rana do gospodarza na śniadanie, wszedł do mieszkania i zobaczył po chwili, że idą NKWDziści. Wtedy wyskoczył przez okno i zaczął uciekać. Tamci oddali kilka strzałów z PMu. Nastąpił wybuch: podobno Duras rozerwał się granatem, który nosił zawsze przy sobie i mówił, że żywcem go nie dostaną. Durasa wzięli na powrót i ciało ciągnęli do Lidy. Tam został rzucony pod komendanturą i tam wzywano mieszkańców; m.in. Urbanowicz był go oglądać. Duras miał charakterystyczny wygląd - był bardzo rudy i jeździł na siwym koniu. Wszyscy ludzie mówili, że Duras potem nie był już partyzantem. Rodzina Durasa - żona i chyba dwie córki były deportowane w 1940 r. - jechały z nami w jednym wagonie na Sybir. Byliśmy potem razem w jednym baraku.

Droga na Sybir. Zakładowano nas w Lidzie. Pamiętam pierwszą stację - Krasne. Tam był taki epizod: ojciec mój był komendantem wagonu i głową odpowiadał za stan liczebny wagonu. Kiedy zbliżyliśmy się do Krasnego, jeden z mężczyzn zaplanował wyrzucić swojego syna przez okno - on jechał z synem, a żona jego była w Krasnem - tam mieszkała. Chciał zaoszczędzić synowi Syberii. W wagonie ustalono, że trzeba umożliwić chłopczykowi ten ratunek. Chłopak był mały, ale znał tę miejscowość - chyba przedtem tam mieszkał czy coś w tym rodzaju. Chłopaka obwiązano ręcznikami i wypchnięto przez okno. Kiedy chłopak już uciekł, wtedy nasi w środku wagonu zaczęli stukać do drzwi, ale zgodnie z przyjętym obyczajem żaden strażnik nie pofatygował się na ten stuk, nikt nie otwierał drzwi zaryglowanych na zewnątrz. Otworzono drzwi dopie-

Stanisław Gryguć

ro w Rosji. Wtedy ojciec zameldował tę ucieczkę. Ojca zabrano, myśleliśmy, że go rozwalą, ale potem wrócił, a wszyscy ludzie zgodnie potwierdzili, że przecież wzywaliśmy stukaniem strażnika.

W Tomsku wyładowano nas z wagonów, tam mieliśmy łaźnię. Tam też zabrano babcię, matkę i siostrę do szpitala - zachorowały na tyfus. A nas załadowano na sanie, które ciągnął traktor. Znaleźliśmy się w ośrodku, który nazywał się "109-yj kwartał" - to był punkt rozdzielczy. W końcu znaleźliśmy się w 136-ym kwartale, w Nowosibirskiej obłasti, gorod Tomsk, Wierchsieczenskijskijsielso-wiet. Kobiety dojechały do nas potem, miały ogolone głowy. Nie mogłem początkowo do tego się przyzwyczaić, bo na kresach kobiety miały długie włosy i z warkoczy robiły taki kok. Tyfus wybuchł już w czasie drogi. Dużo ludzi chorowało, ale w drodze chyba nikt nie umarł. Warunki były ciężkie, potrzeby fizjologiczne załatwiano się, kiedy otwierali wagon. Ale kobiety się krępowały, bo dookoła stali żołnierze z bagnetami.

Współdeportowani: Durasowa z córkami, Najdowa - też bez męża i chyba też z dwiema córkami, Krugły Zenon z żoną, córką i matką. Córka Krugłego teraz nazywa się Smolińska. Pan Krugły był gajowym. Innych nie znałem, ale w wagonie było tłoczno, było może ze 40 osób.

Obóz: na jeden barak był jeden naczelnik, za 8-10 kilometrów był znowu barak i t.d. Ten 136 kwartał to był po prostu jeden barak. Barak jak barak: pośrodku korytarz, na lewo i na prawo pomieszczenia może 4x5 m. W pomieszczeniu tym było nas pięcioro i 4 osoby - Krugłowie. Była prycza, na której wszyscy razem spali. Był tylko naczelnik i bednarz, który robił beczki pod żywicę. Ludzie pracowali przy ścinaniu drzewa. Ale drzewa tego nikt nie wywoził - to było zimą. Wiosną mężczyźni nacinali drzewa, wcześniej kobiety robiły takie lejki do żywicowania drzew. Wiosną żywicowano drzewa. Norma była - 3 tony żywicy na 2 osoby. Moi rodzice byli nawet stachanowcami. Ludzie otrzymywali paczki, a moi rodzice nie liczyli na paczki, bo u nas nikogo nie było - stryjowie byli w lesie. Chociaż chyba jedną paczkę od stryja otrzymaliśmy, jedną z Kołyszek i jedną od dzierżawcy naszego sadu. W paczkach była słonina. Paczki można było otrzymywać tylko do pewnego czasu. Naczelnik uprzedzał, żeby się do tego nie przyzwyczajają, żeby wyrabiać normę. Rzeczywiście, kiedy paczki przestały przychodzić, zaczęła się tragedia. Norma żywieniowa: 400 gramów chleba dla pracującego i 200 gramów dla niepracującego. Nie wiem, czy ci, którzy wykonywali normę z nadwyżką, otrzymywali coś więcej. Pa-

miętam natomiast, że przywożono i pokazywano wędzone łososie i mówiono: "O, jak będziecie dobrze pracowali, to będziecie mieli łososie". Łososia widziałem pierwszy raz w życiu - to taka olbrzymia ryba. Nie przypominam, żeby ktoś kiedyś dostał tego łososia. Były przywożone i pokazywane też cukierki, ale nie pamiętam, że bym kiedyś te cukierki jadł.

W baraku były prasówki. Prowadził je w korytarzu baraku naczelnik. Był tłumacz. Mówiono, że mamy pracować tu i tu zginiemy. Mówiono o wieczystej przyjaźni z Niemcami, o spustoszeniu Anglii przez lotnictwo niemieckie. Ludzie odbierali to jako utratę wszelkiej nadziei. Ojciec rozmawiał o tym z Krugłym - uważali, że trzeba brać się do roboty, żeby jakoś przetrwać, bo ratunku nie ma skąd czekać. Wielodzietnych rodzin w naszym baraku nie było. Była pomoc sąsiedzka; pomagano, kiedy chorowały dzieci. Leczone dzieci ziołami.

Byliśmy tam do 1943 roku. Po podpisaniu umowy z Sikorskim - pewnego dnia przyszedł naczelnik, poinformował, że jesteśmy "grażdanie" i jesteśmy wolni. W 1943 roku przejechaliśmy do Ałtajskiego kraju. Marzyliśmy o tym, żeby dostać się do kołchozu, żeby ukraść parę ziemniaków czy zboża do kłuszenia. Ale znowu mieliśmy pecha. ZPP jakoś nas skierował znowu do lasu. Adres: Ałtajskij kraj, Troickij rajon, Nowoborowlanskijskijsielsowiet, 27 km Tomskoj żelaznej drogi. To było osiedle w lesie, duże. Tam dochodziły tory i od nas szły jeszcze dalej - do Nowoborowlanki - 8 km. To była odnoga. Tam ścinano drzewo, był transport, ładowanie drzewa do wagonów. Z Polaków tam byli: nasza rodzina i jeszcze jedna. Trafiliśmy tam wiosną. W osiedlu mieszkali Rosjanie. Sąsiedzi z poprzedniego baraku rozdzielili się z nami w Tomsku.

Jesienią ojciec został powołany do wojska. Nie zamierzał sam iść do armii, ale go wezwali.

taśma II

W zawiadomieniu było napisane m.in.: "Wziat' s soboj czaszku, krużku, łożku i piszczi na tri dnia". Wręczyłem ojcu swój kociołek, z którym chodziłem na ryby. Zostaliśmy bez ojca. Mamusia pracowała w lesie, babcia nie pracowała. Mama była przy cięciu drzewa na dłużycę i przy ładowaniu na samochody. Drewno przywożono do tego osiedla, gdzie były magazyny i potem ładowano je na platformy. Ja byłem tam najważniejszą osobą. Byłem szczupły i dość sprytny, a więc wczesną wiosną łaziłem po drzewach i zbierałem młode wroniaki - do jedzenia. Babcia doradzała zawsze brać wroniaki nieopierzone, bo z piórkami były już chude. Zbierałem grzyby. Nie brałem babci na grzyby, bo musiałem jej pilnować. Jedzenia

nadal brakowało, bo przydział chleba był jak poprzednio. Ale matka mogła czasami napisać podanie do naczelnika o sprzedanie np. kilograma kaszy jaglanej.

Pieniędzy za pracę matka prawie nie dostawała, gdyż przy kasie zamiast pieniędzy dawano obligacje, bo: "wsio dla fronta, wsio dla pobiedy". Dostawała tyle pieniędzy, że mogła tylko wykupić ten pajok - rację żywnościową.

Mieszkaliśmy z Rosjanami w domku na dwie rodziny. Łowiłem ryby. W osiedlu byli ludzie ewakuowani z nad jeziora Ładoga i Onega. Był tam taki rybak, który nauczył mnie wiązać sieci. Ale na sieć nie miałem przędzy. Namówiłem babcię, żeby pojechała do kołchozu i wymieniła coś na len. Babcia pojechała do sioła Wierszynino i przywiozła len. Wystrugałem babci wrzeciono i babcia sprzedała len. Zrobiłem 4 więcierze z "otkryłkiem". Codziennie musiałem iść na ryby, na staw. To kosztowało dużo wysiłku, bo byłem słaby. Babcia gotowała przyniesione przeze mnie ryby z pokrzywami. Brakowało soli, ale zawsze to jakoś załatwialiśmy. Z naszymi stronami rodzinnymi nie mieliśmy żadnej łączności.

Chodziłem do szkoły. W osiedlu ukończyłem 3 klasy i już zdałem do czwartej klasy do Nowoborowlanki. Miałem oddać świadectwo z II klasy. Miałem też pochwalną gramotę. Latem z chodzeniem do szkoły nie było tragedii. Natomiast zimą trzeba było na nartach pomiędzy torami codziennie przebyć tę drogę. Nie było właściwego ubrania. Śnieg był głęboki. Było ciężko. Lekcje były po południu. Miałem też inne obowiązki: myślałem przede wszystkim o jedzeniu. Kiedy mój znajomy Rosjanin szedł na polowanie na wiewiórki, to on brał skórki, a ja brałem mięso - to już było coś. Nie mogłem więc chodzić do szkoły, bo byłem na tym stratny. Z wiewiórek to mieliśmy przynajmniej jedzenie. A latem z jedzeniem było trudniej - były grzyby, ale bez soli nie dało się ich jeść. Pożywniejsze były już pokrzywy. Dodatkowej żywności na podanie nie można było zbyt dostać - może kilogram na pół roku. Ale później nasza rodzina była chyba najbogatsza: uzyskaliśmy zgodę na to, żeby pojechać do kołchozu i posadzić tam ziemniaki. Matka miała w tym czasie wypadek w pracy - zdruzgotało jej kostkę bierwionami. Matkę zabrano do szpitala do Barnaułu. Nie otrzymywaliśmy już więc jej przydziału. Zagroził nam głód. Wtedy wystaraliśmy się o zgodę na wyjazd do kołchozu. Tam otrzymaliśmy kawałek odłogu. Dojechaliśmy ze znajomym kierowcą. W kołchozie pozwolono skopać nam kawałek pola tam, gdzie chcemy. Mogliśmy zanoć u pewnej Czuwaszki w osiedlu Utkul. Babcia wymieniła w kołchozie jakiś ciuch na ziemniaki. Ziemia tam nie była ruszana. Babcia zaprzęg-

Stanisław Gryguć c.d.

ła się do łopaty. Zerwaliśmy darninę, a potem siekierą i łopatą skopaliśmy ziemię: na pół metra w głąb był czarnoziem. Sadziliśmy same oczka, bo ziemniaków było szkoda. Ale mimo to na jesieni zebraliśmy prawie cały samochód, półtorej tony. Daliśmy naczalnikowi worek ziemniaków. Mieliśmy zawczasu wykopaną pod podłogą piwniczkę. I wtedy mieliśmy już naprawdę dobrobyt: ziemniaków mieliśmy pod dostatkiem - to obierane, to w mundurkach, to gniecione. Matka już wróciła ze szpitala i pracowała na miejscu - noga w kostce była zniekształcona. Matka kuląka. Babcia zbierała żurawiny i wozika do Bijska na sprzedaż. To był handel wymienny: żurawiny - melasa - żołądki, odpady mięsne z miasokombinatu i t.d. Kombinowało się jakoś. Głodni nie byliśmy. Babcia kupiła nawet jakąś książkę rosyjską, na której można było pisać, bo żadnych zeszytów nie było. Kupiła mi nawet czapkę uszankę karakułową, spodnie watowane i walonki. Kupiła też japońską maszynkę do strzyżenia, a na tym z kolei ja mogłem zarobić strzygąc głowy. Nie było nam tak źle: wracając do Polski mieliśmy cały worek sucharów, a w Bijsku za chleb wielkości naszego staropolskiego można było dostać złotą pięciorublówkę. Za chleb można było wszystko dostać, bo to był najlepszy pieniądz. Suszyliśmy ten chleb na drogę powrotną. Wierzyliśmy już, że wrócimy - przychodziły też listy od ojca. Ojciec był po wojnie we Wrocławiu.

Z repatriacją nie było żadnych kłopotów. Załadowano nas do wagonów - najpierw w tym osiedlu. Nie wiem, jak to się stało, że zebrał się cały wagon Polaków. Mieliśmy przesiadkę w Barnaule. Wracał z nami m.in. Szorkin /mieszka teraz na Śląsku/, Staszek Muraszko. Muraszkę poznałem wcześniej, bo kiedy ja byłem w 136, to on był w 130 baraku. W tym drugim miejscu pobytu zmarła jedna Polka. A na 136 zmarła matka pana Krugłego. Potem w drodze powrotnej byłem bardzo podekscytowany i dlatego z podróży niewiele pamiętam.

Po powrocie, już we Wrocławiu, marzyliśmy o tym, żeby wreszcie najeść się do syta. Babcia zawsze mówiła, że w Polsce to chce mieć tyle kartofli, ile tylko da radę zjeść. "A jak zjem, to już mogę umierać".

Ojciec miał już mieszkanie na Sępolnie, pracował w Społem, otrzymywał pomoc z UNRRy. Nazbierał konserw. Wróciliśmy głodni, mimo że na drogę dostaliśmy jakieś konserwy amerykańskie. Ta chęć, żeby się najeść do syta była czasem aż nienormalna - zdarzało się, że już we Wrocławiu uciekałem z 700-gramową konserwą na strych i tam jadłem po kryjomu, mimo, że nikt mi tego nie odbierał. Cza-

Stanisław Gryguć c.d.

sem marzyłem, żeby tak się najeść, żeby aż mi zaszkodziło. Mimo wszystko, wydawało mi się, że chodzę głodny.

Uważam, że nam się poszczęściło: byliśmy całą rodziną. Zostałem starym kawalerem. Po przyjeździe trzeba było pójść do szkoły. Nie miałem świadectw rosyjskich, bo przed wyjazdem za świadectwo musiałbym do szkoły przywieźć kilka /chyba ze 4/ kubików drewna.

Mieliśmy we Wrocławiu sąsiada, nazywał się Grynbart. Ojciec znał go z wojska. Sąsiad ten zaświadczył, że ukończyłem 10-latkę. Przyjęli mnie od razu do gimnazjum. Miałem kłopoty z językiem polskim, ale na maturze miałem już czwórkę. Zawdzięczam to jednej nauczycielce. W życiorysie pisałem^m/zgodnie z radą ojca, że chodziłem do szkoły w Rosji, że byłem ewakuowany.

Siostra ukończyła szkołę podstawową już tutaj, ukończyła też szkołę średnią, ale niezbyt udanie wyszła za mąż i zmarnowała sobie życie.

Ojciec, ku mojemu zaskoczeniu, wyrażał taką opinię: kresy to miejsce rodzinne, ale Ziemia Zachodnia są bogatsze. Ojciec nie uważał, żeby nasze przesiedlenie się było awansem. Kiedyś mówiono bez przerwy o bogaceniu się, o planach kształcenia dzieci, o powiększaniu gospodarstwa, o założeniu stawu rybnego i t.d. Żałował tego, co stracił. Ale tutaj nie wkładał już tyle serca w pracę. Ogólnie nawet był zadowolony, że nie zostaliśmy w czasie wojny pod Lidą - bo ojciec wtedy na pewno poszedłby do lasu; to samo stałoby się ze mną. Moglibyśmy zginąć jak pies pod krzakiem. Tak, że deportację uważał nawet za opatrność losu. Ojciec wrócił z wojny i byliśmy razem. O to, by być razem, z całą rodziną, dbaliśmy zawsze, podkreślało się to bez przerwy na Syberii. Ta deportacja nawet chyba scementowała rodzinę.

Na zesłaniu bywało, że większymi wrogami bywali Polacy niż Rosjanie. Było takie zdarzenie: matka mojej, jako kobiecie wychowującej dzieci bez męża - mąż był na froncie - należał się jakiś skromny dodatek, parę rubli na dzieci. Nie wypłacano jej tego dodatku. Matka wyprosiła więc zezwolenie na wyjazd i pojechała do Barnału do ZPP /mieliśmy już wtedy legitymację tego Związku/. Pojechała tam zimą, w kufajce, w łapciach. Przyjechała pod wieczór. Żołnierz nie chciał jej wpuścić po godzinach urzędowania. Ale matka się przedarła. W biurze siedzieli panowie i panie przy wódeczce. Matka powiedziała, że brakuje jej pieniędzy na wykupienie żywności. Pan wziął od matki zaświadczenie o służbie ojca w wojsku, przeczytał i oświadczył: "A skąd ja wiem, że wasz mąż nie przeszedł na stronę niemiecką". Matka wróciła z niczym. Mówiła,

Stanisław Gryguć c.d.

że gdyby go spotkała po wojnie, to byłaby gotowa chyba go zabić. A Rosjanie dzielili się przynajmniej wrzaskiem, jak już nie mieli niczego innego. Po powrocie naczelnik powiedział matce, że przewidywał to. Skierował matkę do Toricka, do rejonu. Sytuacja się powtórzyła - znów matka dotarła do urzędu pod wieczór, tak samo przyszła zziębnięta i zmachana - tym razem już do urzędu NKWD. Została przyjęta po ludzku: najpierw usłyszała, żeby usiadła, potem dano jej jeść i zapewniono nocleg - na pryczy - ale nocleg. Sprawę załatwiła.

W tym czasie na rynkach pojawiły się rzeczy, które przychodziły w ramach pomocy dla Polaków od rządu amerykańskiego. Sprzedawali Żydzi i Polacy. Niektórzy ludzie chodzili interweniować w NKWD - ale Rosjanie nie chcieli się wtrącać, mówili, że to są sprawy Polaków.

Więc porównując zachowanie Polaka i Sowietę wnioszek wyciągnąć bardzo łatwo - o Rosjanach mogę mówić tylko pozytywnie /nie mówię tu o systemie/. Wprawdzie zdarzenie z moją matką to tylko pojedynczy fakt, ale na tej podstawie mogę uogólniać. To zachowanie pana z ZPP jest dostatecznym powodem.

Kontakty z Rosjanami miałem bardzo dobre - wszędzie byłem traktowany po koleżeńsku. Dochodziło czasem do bójek z chłopakami, kiedy mi dokuczano jako Polakowi. Ale ogólnie Rosjanie nie dawali nam odczuć, że jesteśmy gorsi. Raz tylko, na zakończenie wojny, kiedy okazało się, że nasi ojcowie - Polacy - nie polegali na froncie, a kilku Rosjan z tego osiedla zginęło, wtedy oni zazdroszcząc nam mówili, że Polacy to dekownicy.

Kiedy byliśmy w tym drugim osiedlu, to pamiętam, że raz przyjechało kino i był film o Polsce "Ot Wisły do Odiera", był pokazywany Osóbka Morawski. Ale prasówek takich jak wcześniej już nie było.

Życie religijne: kobiety wychodziły z baraków podkryjomu do lasu, gdzie modliły się zbiorowo. W baraku nie wolno było urządzać zbiegowiska. Ale mężczyźni nie chodzili na te modły.

Wrócono z książeczki do nabożeństwa, kiedy będzie powrót do Polski. Kiedy wybuchła wojna pomiędzy ZSRR i Niemcami, to modlono się, żeby przyszedł Hitler i nas uwolnił.

Święta wyglądały tak: był chlebek, drzewek też nie brakowało. Nie wiem tylko, czy ludzie pamiętali potem, kiedy jest Wielkanoc. Na Boże Narodzenie zamiast opłatka łamaliśmy się chlebem. W sytuacji trudnej święta niczym się nie różniły od dnia zwykłego.